

W obronie
tego, co
moje

Miasteczko Benevolence

BESTSELLEROWA AUTORKA NEW YORK TIMESA, USA TODAY ORAZ WALL STREET JOURNAL

LUCY SCORE

Tytuł oryginału: Protecting What's Mine: A Small Town Love Story (Benevolence #3)

Tłumaczenie: Marta Czub

Korekta językowa: Dominika Dziarmaga, Marysia Bernaciak

ISBN: 978-83-283-8753-9

Copyright © 2020 Lucy Score

Published by arrangement with Bookcase Literary Agency and Booklab Agency.

Polish edition copyright © 2022 by Helion S.A.

All rights reserved.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://editio.pl/user/opinie/wobmb3>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

ROZDZIAŁ 1.

— Serio? I co potem, komendancie? Kot na drzewie?

Linc uśmiechnął się złośliwie do nowicjuszek siedzącej po stronie pasażera w jego wozie.

Skyler — mimo swojej płci lepiej znana jako Nowy — dopiero co skończyła studia licencjackie na wydziale nauk przeciwpożarowych na Uniwersytecie Purdue i jak wszystkie żółtodzioby, podchodziła z dużą niecierpliwością do przyziemnych zadań dnia codziennego w jednostce strażackiej.

— Łamiesz podstawową zasadę, świeżynko — ostrzegł. — Nie wolno nawet pomyśleć słowa p-o-w-o-l-i. Wszyscy tego pożałujemy.

Włączywszy się do ruchu na autostradzie, sprawdził prędkość i pozostawił w tyle Benevolence. Silnik V8 jego SUV-a, wiśniowego samochodu komendanta, zamruczał z wdzięcznością, budząc się do życia.

— Po prostu myślałam, że będzie więcej akcji — poskarżyła się. — Zamiast tego jedziemy do marketu budowlanego po przedłużacze.

— Nie można wiecznie gasić pożarów czwartego stopnia i ratować topielców — stwierdził Linc, bębniąc palcami w rytm radia. Cieszył się z tego. Na wcześniejszym etapie swojej kariery on też żył dla akcji gaśniczych w budynkach, dla emocji związanych z wydobywaniem uwięzionych kierowców. Ale z czasem, wraz z nabywanymi doświadczeniem i mądrością, komendant straży pożarnej Lincoln Reed nauczył się doceniać drugą stronę pracy strażaka. Szkolenie i edukację ludności. Plany zabezpieczeń przeciwpożarowych. Pomoc potrzebującym. Te zadania były równie ważne, jak akcje ratunkowe.

Jasne, robota papierkowa była do bani. Ale miała swój cel. I to też potrafił docenić.

Był piękny dzień, taki, w który opuszcza się szyby w samochodzie i zakłada okulary przeciwsłoneczne. Lato ocierało się o nadchodzącą jesień, czekając, aż nowa pora roku ograbi je z piorunów.

— A niech to. Co to jest, do cholery? — odezwała się Skyler i wyciągnęła przed siebie rękę. Kilkaset metrów dalej ponad betonową barierkę wytrysnęła fontanna iskier. Przed nimi pojawiło się morze czerwonych świateł, bo kolejne samochody hamowały gwałtownie. Wpadały w poślizg i zarzucało nimi na boki.

— O kurwa — mruknął Linc. Zwolnił i skręcił ostro w prawo. — Trzymaj się.

Wcisnął przycisk i upiorną ciszę tuż po wypadku przerwały światło koguta i wycie syren. Jadąc poboczem, wyminął pomarańczowy znak robót drogowych i przycisnął pedał gazu, by śmignąć obok zdumionych pasażerów unieruchomionych samochodów.

Przed ciężarówką ze składaną naczepą unosiła się chmura czarnego dymu. Czuł ten zapach. Spalonej gumy, rozlanych chemikaliów i ognia.

— Nie wygląda to dobrze — powiedziała Skyler i zaczęła odpinać pas.

— Wezwij posiłki i wyłącz syrenę — zakomenderował. Zahamował, wrzucił luz i wyłączył silnik.

— Mamy karambol na autostradzie 422, znacznik trzydzieści trzy — usłyszał, jak nowa mówi do radia, podczas gdy on wyskakiwał z samochodu.

— Na miejscu jest komendant straży pożarnej w Benevolence.

Linc otworzył luk bagażowy i wyciągnął swój kombinezon. Adrenalina mu sprzyjała, dzięki niej poruszał się szybko i efektywnie. W ciągu kilku sekund był ubrany i szedł już w kierunku wołania o pomoc, wciskając po drodze rękawice do kieszeni.

— Hej, panie! Co mogę zrobić? — zawołał kierowca ciężarówki przez otwarte okno kabiny.

— Niech pan poprosi kumpli na osiemnastu kółkach, żeby zablokowali ruch po obu stronach! — krzyknął do niego Linc. Będą musieli posadzić helikopter po drugiej stronie autostrady.

Facet zasalutował.

— Weź sprzęt! — krzyknął Linc do Skyler, gdy ta wyskoczyła z wozu od strony pasażera.

Kobieta, na oko pięćdziesięcioletnia, z rozcięciem na czole, z którego na jasnoniebieską koszulkę na ramiączkach kapła krew, szła oszołomiona w jego kierunku. Wyglądała tak, jakby dopiero co skończyła zajęcia z jogi.

To było nieprzyjemne w tej pracy. Ciągłe przypominania, że w życiu wszystko może się zmienić w jednej chwili. Człowiek nigdy nie wiedział, kiedy jego

codziennosc gwałtownie stanie w miejscu. Kiedy jego plany i listy zadań do wykonania zostaną przerwane czymś, co wszystko zmienia.

— Proszę pani, jeśli jest pani w stanie iść, to proszę usunąć się na pobocze — powiedział i ścisnął ją za ramiona. — Może pani to zrobić?

Pokiwała powoli głową.

— Ja się nią zajmę. — Podszedł do nich utykający mężczyzna w eleganckim garniturze. Koszulę miał brudną od czegoś, co akurat jadł w momencie wypadku.

— Proszę ją zabrać jak najdalej od dymu. I proszę zgarnąć ze sobą po drodze każdego, kogo się panu uda — nakazał Linc.

Nie czekał, żeby sprawdzić, czy go posłuchali. Spomiędzy zmiażdżonego metalu wygrzebywały się kolejne osoby. Pod stopami, które nie planowały dziś stąpać po miejscu katastrofy, chrzęściło potłuczone szkło. Linc doszedł do tyłu ciężarówky, nadal wołając, żeby wszyscy się odsunęli, i wtedy uderzyła go fala gorąca

Dwa samochody — jeep i znajdujący się przed nim sedan — zostały zmiażdżone między osiemnastokółowym tirem i murkiem rozdzielającym autostradę. Część silnikowa jeepa stała w płomieniach.

— O Boże. O Boże. On po prostu w nas wjechał. — Z tylnej części jeepa wyczołgała się dziewczyna, nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Trzęsa się tak bardzo, że dzwoniły jej zęby.

— Czy jest z tobą ktoś jeszcze? — zapytał Linc.

— N-n-n-nie. Nie miałam jak zahamować. Wszystko zdarzyło się tak szybko. Nie chciałam wjechać w tamten samochód.

— Skarbie, chcę, żebyś usunęła się na pobocze — powiedział z naciskiem Linc.

— Powinnam sprawdzić, czy nikomu nic się nie stało — powiedziała i wskazała drżącym palcem na sedana. — N-n-nikt stamtąd nie wysiadł.

Podbiegła do nich Skyler, zadyszana z emocji.

— Zabierz ją — polecił Linc. — Jest w szoku. Zacznij triaż wśród reszty. Nie pozwól nikomu zbliżyć się do strefy wybuchu.

— Robi się — odpowiedziała spokojnie. Też się trzęsała, ale to był inny rodzaj reakcji fizjologicznej. Adrenalina spotykała się z przygotowaniem. — Poproszę panią ze mną.

Linc zaczął się zastanawiać, jak dostać się do sedana. Kabina tira została wgnieciona w barierkę i blokowała dostęp od przodu. Ogień uniemożliwiał dojdęcie od tyłu.

— Jest tylko jedna droga — mruknął. Zdjął butlę tlenową i kask, a zamiast tego naciągnął na dłonie rękawice. Wsunął się pod podwozie niskiej naczepy. Na asfalt wyciekły jakieś płyny, tworząc kałuże i bajora, mocząc mu kombi-nezon. Niezły syf.

Z każdą chwilą żar stawał się coraz większy. Linc zatrzymał się na chwilę, żeby poprawić kaptur.

Serce biło mu rytmicznie w uszach, gdy wypelzł spod podwozia.

— Niech nam ktoś pomoże!

Linc wcisnął się między tylne drzwi sedana i tira. Kierowca był przytomny i panikował za kierownicą, bo płomienie z jeepa zaczęły lizać już bagażnik jego samochodu.

Ponad betonową barierką wychylały się dwie osoby i ciągnęły bezskutecznie za drzwi od strony kierowcy. Ale nie było wystarczająco dużo miejsca, żeby je otworzyć.

— Kurwa mać — mruknął Linc. W sprawach z pogranicza życia i śmierci nigdy nic nie było łatwe.

— Proszę nam pomóc! — Wysoka, ciemnowłosa kobieta przewiesiła się ponad barierką. Na jej nadgarstkach podzwaniało pół tuzina kosztownych bransoletek, podczas gdy ona ciągnęła za wygiętą ramę drzwi. Skojarzyła mu się z Wonder Woman. Pomagający jej mężczyzna miał metr pięćdziesiąt w kapeluszu i nie mógł ważyć więcej niż pięćdziesiąt pięć kilogramów. Miał na sobie krawat z kanarkiem Tweety. Linc założyłby się o pięć dolców, że był przypinany.

— Wszystko w porządku, kolego? — zapytał Linc kierowcę, wsuwając głowę przez otwarte okno z tyłu. Facet też rozkoszował się jazdą z opuszczonymi szybami tuż przed tym, gdy rozpętało się piekło.

— Noga boli jak cholera i jestem zakleszczony.

To był postawny mężczyzna z krzaczastymi siwymi wąsami, które zrobiły się różowe na skutek rozbitego poduszka powietrzną nosa. Spocone włosy sklepiły się w strąki.

— Wyciągniemy pana stąd, okej? Proszę się trzymać — obiecał Linc.

Rozległ się głośny trzask i z miejsca, w którym znajdował się bagażnik, wystrzelił metalowy pocisk.

— Jasna cholera! Co to było? — wykrzyknął Tweety. Wonder Woman skrzywiła się, ale nie zaprzestała bezowocnego szarpania za drzwi.

— Wystrzeliły podnośniki hydrauliczne w bagażniku — wyjaśnił Linc i wsunął się przez okno od strony pasażera na tylne siedzenie. W środku było gorąco jak w piekle.

— Proszę pana, nie wiem, czy to dobry pomysł — powiedział kierowca drżącym głosem. — Nie wiem, czy uda mi się stąd wydostać, a czułbym się fatalnie, gdyby starał się pan mnie uratować. Mam siedemdziesiąt dwa lata. Pan ma przed sobą dużo więcej życia niż ja.

Linc ścisnął mężczyznę za ramię. Czasem mocny fizyczny kontakt potrafił najszybciej uspokoić.

— Wszystko będzie dobrze. Proszę tylko robić to, co mówię, a obaj wieczorem napijemy się zimnego piwka.

Żar w samochodzie był nie do zniesienia. Ale Linc to zignorował. Przesunął się tak, żeby swoim ciałem odgrodzić zbliżający się ogień od fotela kierowcy. Jego kombinezon ochroni i jego, i kierowcę, przynajmniej przez kilka najbliższych minut.

— Jaki jest plan działania, panie strażaku? — chciała wiedzieć Wonder Woman, gdy ściągnął rękawice i zaczął grzebać w kieszeniach.

— Nie damy rady wyciągnąć go przez drzwi. Musi pani znaleźć gaśnicę i kogoś, kto użyje tego zbijaka do szkła — powiedział, wyciągając z kieszeni narzędzie. — Musimy działać szybko. — Przednia szyba była najgorszym możliwym rozwiązaniem. Szkło było dużo mocniejsze niż w bocznych oknach i odporne na uderzenia. Musiałoby się zdarzyć coś więcej niż cud, żeby wyciągnąć tamtędy kierowcę.

Kobieta wzięła od niego zbijak, spojrzała na kierowcę i zagryzła wargę.

— Skarbie, lepiej już idź. Tu się robi gorąco — powiedział mężczyzna i ścisnął jej dłoń.

Odpowiedziała mu uściskiem i obejrzała się przez ramię.

— Hej, halo! Potrzebny mi bohater do rozbijania szyb i cholerna gaśnica! Ale już! Pan pójdzie na poszukiwania — powiedziała i pchnęła lekko Tweety'ego, a potem odwróciła się z powrotem do kierowcy i uśmiechnęła się pogodnie. — Nigdzie mi się nie spieszy. Więc po prostu zaczekam tu sobie z panem, aż uda nam się rozwiązać tę sytuację. Proszę mnie uwzględnić w wyjściu na to zimne piwo.

Linc wyciągnął z kolejnej kieszeni rozcinacz do pasów bezpieczeństwa i złapał od przodu pas.

- Rozetnę panu pas, a w międzyczasie opracujemy drogę ewakuacyjną.
- Dobrze — zarządził kierowca.
- Jak ma pan na imię? — zapytał Linc, zahaczając ostrze rozcinaka o pas.
- Nelson — odparł mężczyzna. — Nelson. Moja żona. Kupiłem jej kwiaty —

powiedział.

Linc zaciśnął zęby, chwycił mocniej pas i zaczął go piłować. Poczul zapach róż i zauważył bukiet na siedzeniu pasażera. Biało-różowy.

- Ma dziś urodziny — powiedział słabo Nelson.
- Mogą trochę zwiędnąć, zanim je pan wręczy, ale zrobi to pan — zapewnił Linc.

Kurwa. Pod tym kątem działanie było prawie niemożliwe. Zamiast wykonać czyste cięcie, przegryzał się nitka po nitce. Pot lał się z niego strumieniami i zamieniał kombinezon w cholerną saunę.

— Zorganizowałam panu ludzi — odezwała się Wonder Woman z oczami łzawiącymi od dymu. Włosy oklapły jej od potu i przykleiły się do czoła. — Jeden miał w samochodzie rozbijak do szyb.

Linc uwielbiał dobrze przygotowane postronne osoby.

— Co mamy robić? — Po drugiej stronie barierki pojawiło się dwóch mężczyzn. Trzymali w górze narzędzia.

— Wejdźcie na dach — polecił Linc. — Wyjdziemy przez szyberdach.

— Czy mogę prosić o jakiś koc? — zawołała Wonder Woman do zebranego wokół niej tłumu. — I gdzie są moje gaśnice? A reszta niech się stąd wynosi!

— Fantastycznie sprawdziłaby się pani przy zarządzaniu kryzysowym — powiedział jej Linc.

— Skarbie, mam w domu piątkę dzieci. Potrafię zarządzać podczas każdego cholernego kryzysu.

— Posłuchajcie, dajcie nam dwie minuty. Jeśli do tego czasu nie wyjdziemy, musicie się stąd usunąć — nakazał Linc.

— Trzy minuty — powtórzyła.

Pojawił się koc, który zarzucili Nelsonowi na głowę, żeby osłonić go przed szkłem.

Czas przestał istnieć. Pozostało tylko intensywne gorąco i pełna koncentracja Linca. Pas w końcu ustąpił. Rozcinak wyslizgnął się z ręki strażaka i drasnął ją lekko. Linc usłyszał charakterystyczny szum jednorazowych gaśnic i syk płomieni.

Ale w środku dalej było cholernie gorąco. Wciąż płonął. Dobrzy Samarytanie przypuścili atak na szyberdach i z góry posypały się odłamki szkła.

— Dzięki, kurwa, Bogu — mruknął Linc. Wcisnął rozcinak do kieszeni i naciągnął rękawice. Za późno. Już czuł bąble formujące się na prawej dłoni. Ale kim byłby strażak bez kilku poparzeń, którymi mógłby się pochwalić?

— Jasna cholera, komendancie. — W otwartym szyberdachu pojawiła się ładna buzia Skyler.

— Najwyższy czas, Nowy — krzyknął Linc. — Nelson, kolego, jest pan gotowy do wyjścia?

Żar robił się nie do wytrzymania. Linc miał wrażenie, że rozpuszcza mu mięśnie. Wnętrze samochodu wypełnił czarny dym, który następnie zaczął wylewać się przez otwarte okna.

— Ale przecież tak tu przyjemnie — zażartował mężczyzna, kaszląc i plując. Linc wyszczerzył się w uśmiechu.

— Dobra. Na trzy. Wonder Woman i ja dzwigniemy Nelsona do góry. Świeżynka i Samarytanie wyciągną go górą i przeniosą przez barierkę. A potem wszyscy w nogi. Zrozumiano?

— Zrozumiano! — zawołali, jakby szkolili się razem od lat, a nie byli grupką połączonych przez los nieznajomych, którzy próbowali uratować komuś życie.

Tylna szyba roztrzaskała się za plecami Linca, a języki płomieni podchodziły coraz bliżej.

— Teraz! — wrzasnął.

Wciąż używając swojego ciała jak tarczy, objął Nelsona, żeby podnieść go z siedzenia. Ciężar, kąt, skręt. Poczul chrzęst w prawym barku i ucieszył się z bólu, który odwrócił jego uwagę od piekielnego żaru. Wspólnymi siłami podnosili, pchali i ciągnęli, stękając i krzycząc.

Brzmiało to jak poród. Jak narodziny. Tylna kanapa już się paliła. Płomienie pożerały tapicerkę i tkaninę obiciową na suficie. Kończył im się czas.

Nagle Nelson zniknął w otworze szyberdachu. Linc posłał milczącą modlitwę dziękczynną, gdy mokasyny mężczyzny zniknęły mu z widoku, a spomiędzy trzaskania płomieni doszły go wyraźne radosne okrzyki.

— Niech pan wychodzi, komendancie! — wrzasnęła Skyler i podała mu rękę.

Podał jej lewą dłoń, łapczywie szukając tlenu, i pozwolił się wyciągnąć na powietrze, na słońce, pod niebieskie niebo przesłonięte gęstym czarnym dymem.

— Czekaj! — Linc sięgnął do środka kontuzjowaną ręką i chwycił kwiaty.
— Dobra. Wyciągnij mnie stąd, kurwa.

— Nigdy nie uważałam pana za romantyka — odezwała się Skyler przez zaciśnięte zęby, taszcząc jego sto kilogramów mięśni i sprzętu przez dach samochodu.

Wylądowali na masce, a zaraz potem dziewczyna przepchnęła go ponad barierką i oboje spadli na ziemię. Za nimi rozległ się głośny huk, bo wybuchła jedna z opon.

Ręce. Miał wrażenie, że tuzin rąk złapało go i podciągnęło do góry. Stali w otoczeniu aniołów. Zakrwawionych, posiniaczonych aniołów. Wszyscy płakali i śmiali się jednocześnie. Dziewczyna w stroju do softballa. Kobieta w ołówkowej spódnicy z zakrwawionymi kolanami. Dostarczyciel pizzy. Kierowca ciężarówki w koszuli Jimmy'ego Buffetta. Czarni. Biali. Bogaci. Biedni. Spotkali się razem, aby przeciwstawić się śmierci.

Bark Linca szarpał ból, kłykie pulsowały. Ale złapał Skyler za rękę.

— Niech wszyscy się usuną!

Rozległy się syreny. Cała opera na ich cześć. Nadchodziła pomoc.

Posuwali się jak jedno ciało, przeciskając się pomiędzy stojącymi samochodami na drugą stronę autostrady. Warkocz Skyler nie był już porządnie zapleciony. Czarne kosmyki wysuwały się ze wszystkich stron, a ciemna skóra była pomazana sadzą i brudem. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego szeroko.

— Niezła robota jak na jeden dzień pracy, komendancie — powiedziała.

Przed nimi kuśtykał Nelson z rękami zaplecionymi na ramionach golfistów, którzy rozbili szybę. Linc zerknął ukradkiem przez ramię, a wtedy zbiornik z paliwem tak po prostu eksplodował, wyrzucając płomień na dziesięć metrów w górę.

Kwiaty w dłoni Linca były zwiędnięte i przysmalone. Ale przeżyją, podobnie jak mężczyzna, który je kupił.

Prawda. Niezła robota jak na jeden dzień pracy.

ROZDZIAŁ 2.

Linc znajdował się na poboczu i przyciskał lewą dłonią ranę na nodze motocyklistki, a w tym czasie ratownik medyczny unieruchamiał kręgosłup nieprzytomnej kobiety.

Komendant czuł raczej, niż widział, sieć służb ratowniczych, która przenikała chaos i powoli zaczynała przywracać porządek. Ekipy straży pożarnej nadzorowały ruch drogowy i urządzały objazdy. Policja rozpoczęła skrupulatne śledztwo. Medyczne zespoły ratunkowe i ratownicy medyczni triażowali ofiary wypadku i udzielali im pomocy, organizując transport do najbliższych szpitali. Cała armia służb drogowych ustawiła się w gotowości do uprzątnięcia miejsca wypadku. Z każdą chwilą przybywała kolejna pomoc.

Linc wyczuł, że atmosfera wokół się zmieniła. Mężczyźni i kobiety w mundurach wnosili ze sobą spokój, poczucie kontroli nad sytuacją.

Ale tu, na tym skrawku ziemi porośniętej szeleszczącą, zbrązowiałą trawą poplamioną krwią, wciąż toczyła się walka na śmierć i życie. Dziewczyna została odnaleziona pięć metrów od rozbitego motocykla. Nieprzytomna, nieruchoma.

Wodospad potu, który zaczął płynąć w samochodzie, jeszcze nie ustał, choć Linc ściągnął już z siebie kurtkę. Będzie musiał wziąć sześć razy prysznic, żeby znów poczuć się jak człowiek.

Bark pulsował bólem. Prawa ręka zwisała bezwładnie z boku, ciało wciąż płonęło boleśnie. Ale w tej chwili potrzebne były wszystkie ręce z przeszkoleniem medycznym.

Wokół nich pojawiali się i znikali strażacy i policjanci, wszyscy zajęci swoimi zadaniami. Kontrolą ruchu drogowego. Sprzątaniem. Transportem pacjentów.

Linc spojrzał na bladą, posiniaczoną twarz kobiety. Nie rozpoznał jej. Gdyby to się zdarzyło w Benevolence, z dużym prawdopodobieństwem wiedziałby, jak ma na imię. Może nawet na jakiej ulicy mieszka.

— Helikopter w drodze? — zapytał ratownika. Gaza, którą przyciskał do nogi ofiary, była już przesiąknięta krwią. Kobieta nie przeżyłaby transportu karetką.

— Leci. Będzie za dwie minuty.

— Ona jest w najgorszym stanie? — zapytał. Widział tylko niewielki wy-
cinek tej masakry.

Ratownik rzucił mu przelotne spojrzenie.

— Mam cholerną nadzieję, że tak.

Istniało jednak prawdopodobieństwo, że były gorsze przypadki. Wskazy-
wały na to szkielety minivanów i sedanów wokół nich.

Ale nie widać jeszcze worków, pomyślał ponuro. Jednak zważywszy na kilka-
naście zmiażdżonych wraków, wydarzyłyby się cud, gdyby nie trzeba było wzywać
koronera.

Wypadki się zdarzały. Ludzie umierali.

Lecz to, co motywowało go do działania, co motywowało ich wszystkich,
to fakt, że na miejscu każdego wypadku zdarzało się coś jeszcze.

Wśród zgniecionego metalu, ponad potłuczonym szkłem, nieznajomi
pomagali nieznajomym. Postronne osoby zamieniały się w bohaterów w najgor-
szym dniu życia kogoś innego. Ludzie roznosili butelki z wodą i łapali zwierzęta
domowe. Uciskali rany, oferowali telefony komórkowe i pomocną dłoń. Zamykali
obcych ludzi w mocnych objęciach i obiecywali szeptem, że wszystko będzie
dobrze.

Ładna młoda dziewczyna w zielonej sukience wycierała delikatnie krew z twa-
rzy starszego mężczyzny, podczas gdy ratownik sprawdzał jego czynności życiowe.
Żona mężczyzny przyciskała jego dłoń do swojej piersi. Po jej pomarszczonej twa-
rzy spływały ciche łzy.

Lincowi nie zależało na tym, żeby inni przypinali mu łatkę bohatera. Został
do tego przeszkolony. Miał za sobą wieloletnie doświadczenie. Wybrał ten
zawód. Ale kobieta, która zapewne jechała na spotkanie z przyjaciółką, tego
nie zrobiła. Kierowca ciężarówki, który pomagał utykającemu nastolatkowi
i nastoletnia dziewczyna opowiadająca cichym głosem żarty człowiekowi na
noszach? To byli prawdziwi bohaterowie.

— Helikopter już prawie jest. — Ratownik przypiął do deski ortopedycz-
nej pasek przy nodze. — Przenieśmy ją bliżej lądowiska.

Linc złapał deskę lewą ręką i skrzywił się, gdy wstali.

— Przepraszam, stary, nie wiedziałem, że jesteś potrząskany — powiedział ratownik. — Ej! Potrzebny mi ktoś z dwiema zdrowymi rękami!

— To drobiazg — upierał się Linc. Jego bark zaprotestował.

— Cholera, komendancie. To musiał być naprawdę niezły przedłużacz.

— Brody Lighthorse, łysy, wytatuowany kapitan straży pożarnej w Benevolence, a zarazem najlepszy przyjaciel Linca, wyłonił się spomiędzy wraków i chwycił z jednej strony deskę ortopedyczną.

— Nie mogę narzekać na nudę — odparł Linc. Biegł obok i dalej uciskał ranę, podczas gdy Brody i ratownik szybko lawirowali między samochodami i rannymi.

Helikopter wylądował gładko na przerywanej linii na pasie autostrady wiodącym na zachód. Drzwi cargo już się otwierały. Ze środka wyskoczyła lekarka.

— Co tu mamy, panowie?

Nawet wśród hałasu śmigieł chropawość jej głosu sprawiła, że zapomniał o bolącym barku. A to było jeszcze zanim zobaczył jej oczy. W kolorze chłodnej, butelkowej zieleni. Pod jej lewym okiem biegła stara blizna, dodając ciekawej asymetrii do już przykuwającej wzrok twarzy.

Ratownik wyrecytował informacje — krwotok wewnętrzny, być może uszkodzenie kręgosłupa — a lekarka w tym czasie ściągnęła z szyi stetoskop. Miała długie nogi i pewny krok. Jej krótkie, ciemne włosy były ściągnięte z tyłu w krótką, nieskładną kitkę. Luźne, pofalowane kosmyki zdążyły już się wymknąć wokół jej twarzy. Usta miała pomalowane intensywnie czerwoną szminką.

— Wygląda na to, że macie tu niezły bałagan — odezwała się do Linca, przekrzykując śmigła. — Cieszę się, że mnie dostała się tylko jedna osoba.

Otworzył usta, ale język odmówił mu posłuszeństwa.

— Prawdziwy cud, pani doktor! — zawołał Brody. Szturchnął Linca łokciem w bok. — Odjęło ci mowę, komendancie?

— Zobaczmy, czy uda nam się wyprosić jeszcze jeden cud — powiedziała. — Załadujcie ją.

Gdy pielęgniarz lotniczy i ratownicy medyczni wsunęli deskę ortopedyczną do śmigłowca, spojrzenie lekarki powędrowało do Linca. Zmierzyła go chłodnym wzrokiem. Miał wrażenie, że jego język jest dwa razy za duży jak na jego usta.

Nigdy dotąd nie miał problemu z rozmową z kobietami. Cholera, pierwszego dnia w przedszkolu flirtował bezceremonialnie ze swoją nauczycielką.

Pielegniarz — duży, przysadzisty brodac — podłączył kroplówkę, a spojrzenie lekarki skupiło się tymczasem na bezwładnym ramieniu Linca.

— Zbadasz sobie tę rękę, Lewusie? — zapytała.

Język w końcu mu się rozsuptał.

— Jeśli to pani będzie badać, Doktor Marzenie — wychrypiał.

Zamilkła na chwilę i uniosła jedną brew.

— Już dawno nikt tak mnie nie nazywał — stwierdziła. — Niezła próba, ale ja nie *bawię* się w lekarza.

Położywszy nacisk na słowie „bawić”, puściła do niego oko i zaczęła wsiadać na pokład.

— Podrywamy ptaszka!

Wycie silnika nasiliło się, a oni odsunęli się poza zasięg śmigieł. Linc patrzył przez chwilę, jak helikopter zawisa nad ziemią, a potem odlatuje w kierunku szpitala. Unosząc ze sobą zielonooką lekarkę.

— Wyrażna poprawa w porównaniu z doktorem Singhem — uznał Brody. Dotychczasowy lekarz pogotowia lotniczego był niski, okrągły i wiecznie skory do kłótni na temat północnowschodnich klubów sportowych.

— Tak — przyznał Linc. *Zdecydowana poprawa.*

— Masz w oczach serduszka — wyszczerzył się Brody.

— Chyba się zakochałem.

ROZDZIAŁ 3.

Doktor Mackenzie O'Neil pochylała się nad pacjentką, gdy helikopter wzniósł się w górę tak szybko, że aż poczuła łaskotanie w brzuchu. Ratownictwo lotnicze wiązało się z własnymi wyzwaniem, ale umiała im sprostać. Komunikacja z pacjentami w drodze do szpitala była zwykle niemożliwa, nawet gdy byli przytomni.

To była zabawa w zgadywanek, w której szło o wysoką stawkę. Balansowanie na wysokości między stabilizacją i gotowością na moment, gdy wszystko idzie na opak.

Leżąca przed nią nieprzytomna dziewczyna, na oko dwudziestoparoletnia, w dobrym stanie fizycznym, była tajemnicą, którą należało rozwiązać, aby ją uratować.

Mack kontynuowała szybkie, delikatne badanie fizykalne, a w tym czasie Bubba, nadzwyczajny pielęgniarz lotniczy, rozcinał kurtkę i znajdującą się pod spodem koszulkę. Bubbie brakowało tylko dwóch centymetrów i kilku kilogramów do górnego limitu, uniemożliwiającego praktykowanie medycyny w ciasnej przestrzeni EC145. Ale był zwinny.

— Brzuch pacjentki jest twardy jak skała. Duże siniaki na klatce piersiowej — przekazała Mack, naciskając z każdej strony.

— Hemofiliczka, pani doktor? — zaświergotała Sally w słuchawkach ze swojego miejsca za drążkiem sterowniczym. Sally Taryfa, lub inaczej ST, jak była zwana w zespole ratownictwa lotniczego w Centrum Medycznym Keplera, była najlepszą pilotką, z którą Mack miała zaszczyt latać. Jej lądowanie było miękkie jak szept, miała refleks błyskawicy i zachowywała spokój w sytuacjach stresowych. Była też bardzo drobna. Siedziała na poduszce, żeby łatwiej dosięgnąć manetek.

— Na to wygląda — potwierdziła lekarka do mikrofonu.

Usłyszała, jak Sally przekazuje informację przez radio szpitalowi.

— Bubs, jak tam ciśnienie? — zapytała Mack.

Pod względem fizycznym Bubba był dokładnym przeciwieństwem drobnej pilotki. On czarnoskóry, ona z jasnymi piegami. On przysadzisty, ona szczupłutka. Mack bawiły te przeciwieństwa. Pielęgniarz dalej wyglądał jak futbolista z drużyny uniwersyteckiej, którym był za czasów studiów pielęgniarskich. Pokręcił głową.

— Rośnie.

— Uzupełnijmy płyny, zobaczmy, czy uda się je ustabilizować. — Mack dokonała w głowie szybkich obliczeń. Do szpitala mieli jeszcze dziesięć minut. W tej chwili jej jedynym zadaniem było dostarczyć tam dziewczynę żywą.

Jeszcze raz ją osłuchiwała, wpatrzona w znajdujący się obok monitor.

— Tachykardia. Po prawej słyszać płytszy oddech.

— Ma hipoksję — poinformował Bubba, odczytując zapis z pulsoksymetru.

— Intubujemy?

Mack czuła, że pacjentka się jej wymyka.

— Tak. Tak zrobmy — zgodziła się.

Działali szybko w tandemie. To była dopiero jej trzecia zmiana i piąte wezwanie w nowej pracy, w nowym miejscu. Ale lubiła i szanowała swój zespół. Bubba nie miał problemu z przyjmowaniem poleceń od kobiety, która nie bała się ich wydawać. A ST z przyjemnością odgrywała rolę szofera.

Kiedy podchodzili do lądowania, skala zniszczeń na autostradzie pod nimi była ponuro fascynująca. Mack rozpoczęła swoją karierę medyczną od latania na pole bitwy i wyciągania stamtąd rannych żołnierzy. Zdarzało jej się latać śmigłowcem pod ostrzałem, przeżyła nawet lądowanie awaryjne. Ale tak makabryczny widok na rodzinnej ziemi budził dziwny niepokój.

Wyglądało na to, że kierowca osiemnastokołowego tira nie zauważył znaków o robotach drogowych i nie przygotował się do redukcji prędkości. Wbił się w stojące przed sobą pojazdy i spowodował katastrofę lądową na zasadzie reakcji łańcuchowej.

Pracujący na ziemi ludzie nie brali udziału w misjach w strefach wojennych. Nie mieli przeszkolenia wojskowego. To byli tatusiowie na zakupach, kobiety biznesu podczas przerwy obiadowej, nastolatki na wagarach. Lub, jak leżąca przed nią dziewczyna, zwyczajnie młode kobiety, które postanowiły wykorzystać ładne letnie popołudnie na przejażdżkę na motorze.

— Czas, ST? — zawołała.

— Dziewięć minut — nadeszła odpowiedź.

— Intubowałeś kiedyś w locie, Bubs? — zapytała Mack.

— Jestem dziewicą. Bądź dla mnie delikatna — odparł.

— Tracimy ją — zauważyła. — Zostań z nami, dziewczyno.

Działali szybko, odzywali się tylko wtedy, kiedy było to niezbędne. Jej czoło pokryło się potem, a plecy wyjęczały skargę z powodu przygarbionej pozycji. Adrenalina mruczała w żyłach znajomą pieśń. Syrenią pieśń. Pieśń, której Mack będzie musiała zacząć się opierać... kiedyś.

Na monitorze wyświetliła się ciągła linia.

— Cholera — powiedziała i ponuro naładowała elektrody. Bubba rozpoczął RKO.

Życie i śmierć. Przyzwyczała się już, że codziennie przekracza tę linię. Że codziennie widzi katastrofy, których jedynie niewielki odsetek ludzi będzie naocznym świadkiem. Ratownicza, lekarka pogotowia lotniczego, podobnie jak przedstawiciele wszystkich innych służb ratunkowych, była inaczej uformowana. Tego rodzaju ludzie wyszukiwali kryzysy, zamieniali się w narzędzia. Istniały protokoły umożliwiające radzenie sobie ze śmiercią, masakrą i traumą. Protokoły organizowały chaos, zapewniały mózgowi coś, o czym mógł myśleć poza horrorem związanym z utratą młodego życia.

Ręce jej się trzęsły, więc chwyciła mocniej „łyżki”.

— Odsunąć się.

Bubba odskoczył do tyłu.

Wciąż ją dziwiło, jakim sposobem mężczyzna jego postury mógł poruszać się z taką gracją w tak ciasnej przestrzeni. Praca na małej powierzchni nie była łatwa, ale oznaczała pewną wygodę. Wszystko, czego potrzebowała, znajdowało się na wyciągnięcie ręki.

Mack przyłożyła elektrody, posłała przesądnie modlitewne „błagam” i puściła prąd w młode serce, którego los znajdował się w jej rękach.

— Jest akcja serca! — zawołał Bubba.

Dzięki ci, Jezu.

— Intubujemy — powiedziała. Otarła ręką pot z czoła i obwiniała rzeczony pot o to, że kiedy za bardzo się wyprostowała, uderzyła czołem — częścią nie zasłoniętą przez hełm — o metalową półkę nad noszami.

— Zajebicie — mruknęła.

Uderzenie z zaskoczenia sprawiło, że dłonie przestały jej drżeć, więc wsunęła gładko rurkę tracheotomijną do tchawicy pacjentki.

— Niezła robota, Mack — pochwalił ją Bubba w słuchawkach, gdy parametry się ustabilizowały.

Opatrzyli szybko jedną z ran na nodze. Widać już było szpital, słońce odbijało się od szyb. Setki samochodów znaczyły kropeczkami parkingi. Ludzie wchodzili i wychodzili z budynku jak mrówki.

Żołądek Mack znów opadł, bo helikopter zaczął schodzić niżej w stronę lądowiska na dachu. Pacjentka była stabilna. Mack wywiązała się ze swojego zadania.

Tuż za drzwiami czekał zespół urazowy. Białe fartuchy powiewały w powietrzu wzburzonym przez śmigła.

— Dobra robota — powiedział Bubba i wyciągnął nad pacjentką zaciśniętą rękę.

Stuknęła w nią pięścią.

— I *vice versa*, stary. Naprawdę ładna praca.

Płózy niemal jednocześnie dotknęły ziemi podczas gładkiego, płynnego lądowania.

— Skarbie, jesteście w domu — powiedziała śpiewnie ST.

Bubba odblokował drzwi, a Mack wyskoczyła i pochyliła się nisko. Pomogła zespołowi na dachu wyciągnąć nosze i przekazała im wszystko, co trzeba.

— Pacjentka wielourazowa, mniej więcej dwudziestoletnia, motocykl kontra samochód. W szoku. Zaintubowana — wyrecytowała czekającym lekarzom. — Straciliśmy ją, ale udało się przywrócić czynności życiowe. Jeden wstrząs.

— Przejmujemy pacjentkę, pani doktor! — zawołał chirurg urazowy, skinąwszy jej głową. Chwycił barierkę noszy na kółkach i cały zespół wspólnie zawiózł bezimienną dziewczynę do środka.

— Kolejny dzień, kolejny punkt dobrej karmy — powiedziała ST, dołączając do nich na dachu.

— Myślisz, że z tego wyjdzie? — zapytał Bubba.

— Jest młoda i bez chorób towarzyszących. Ma spore szanse — oceniła Mack. Przeciągnęła ręce nad głową.

— To jej krew? — zapytała ST, kiwając brodą w kierunku rozmazanej plamy na czole Mack.

— Znów rąbnęłam się głową w półkę.

— To już dwa razy — powiedziała Sally, strzelając balonem z gumy. — Jeszcze raz i będziemy musieli zorganizować ci jeden z tych wielkich okrągłych kasków.

Bubba dołączył do nich na skraju lądowiska i postukał palcem bliznę między swoimi brwiami.

— Przynajmniej nie trzeba było szyc podczas lotu — powiedział wesoło. Sally zerknęła na zegarek.

— Wygląda na to, że nadszedł koniec zajęć, moi drodzy. Ktoś ma ochotę wrzucić coś na ruszt?

Mack w pierwszym odruchu chciała stanowczo odmówić. Była potwornie zmęczona i znów zaczęły trząść się jej ręce. Zaciśnęła pięści i wsunęła je do kieszeni kombinezonu lotniczego. Znalazła się tu po to, żeby zmienić otoczenie, zrobić sobie przerwę, zanim zastanowi się, co dalej. Zacieśnianie więzi ze swoim zespołem jest dobre, przypomniała sobie. Normalna sprawa. A ona zmuszała się do normalności.

— Jasne. Chętnie. Tylko najpierw wezmę prysznic.

— I plaster. — ST uśmiechnęła się znacząco i postukała się we własne, niezakrwawione czoło.

— Ja pasuję. Obiecałem swojej pani, że zabiorę dziś wieczorem dzieciaki na zakupy, żeby miała godzinkę spokoju — powiedział Bubba i zasalutował. — Dobra robota, Mack.

— Wzajemnie, Bubs.

— Widzimy się na dole za pół godziny? Muszę zrobić kontrolę po locie — powiedziała ST i skinęła brodą w kierunku śmigłowca.

To była kolejna rzecz, którą Mack ceniła w pilotce. Latała wcześniej z pilotami, którzy skupiali się tylko na liście kontrolnej przed wylotem, a po wylądowaniu zostawiali maszynę, nawet nie rzuciwszy na nią okiem. Sally Taryfa podchodziła poważnie do swojej pracy, od początku do końca.

Mack weszła do środka i zeszła trzy piętra niżej do szatni, gdzie spędziła pięć przyjemnych minut pod gorącym jak ukrop prysznicem. Jej mięśnie rozluźniły się, gdy zmywała z siebie warstwę zaschniętego potu. Gdy była już wystarczająco czysta, przekreśliła kurek na zimną wodę i zaczęła liczyć od sześćdziesięciu w dół, pozwalając, aby lodowaty strumień obudził jej mózg.

Miała ochotę na zieloną herbatę i kanapkę z całą gorą wędliną. Pobawi się trochę z ST we wzajemne zapoznavanie się, a potem wróci do domu. Może

rozpakuje jeszcze jeden karton, przeczyta jeszcze jedno zaległe opracowanie albo czasopismo medyczne. Wcześniej do łóżka. Wczesna pobudka. Trening. Śniadanie.

A potem pojedzie do rodzinnej praktyki lekarskiej w tej małej miejscinie, w której — Boże dopomóż — spędzi najbliższe pół roku swojego życia.

Wyszła spod prysznicza i wytarła się. Obejrzała rozcięcie na czole i wróciła oczami.

— To ty chciałaś normalności — mruknęła do swojego odbicia w lustrze.

Rozczesała włosy grzebieniem, dmuchnęła na nie suszarką i założyła cywilne ubrania. Spojrzenie na zegar na ścianie uświadomiło jej, że ma jeszcze piętnaście minut.

Po raz pierwszy wróciła myślami do strażaka z autostrady.

Jej umysł zawsze robił przegląd wydarzeń i reakcji w dziwny, przypominający sen sposób. Zamiast odtwarzać w myślach akcję podczas lotu, zaczęła rozmyślać o niebieskookim strażaku z przetrąconym barkiem. Wyglądał bardziej jak ratownik na plaży. Opalony blondyn ze swobodnym, czarującym uśmiechem.

Do szatni weszły dwie pielęgniarki w szpitalnych fartuchach. Skinęły jej głową. Kobieta z krótką czupryną w kolorze srebrnego blondu otworzyła szafkę i ściągnęła z westchnieniem ulgi chodaki.

— Nie cierpię dwunastogodzinnej zmiany.

— Nie jest tak źle, jeśli możesz się zająć Komendantem Ciacho. — Druga pielęgniarka, smukła i zmęczona, klapnęła na ławkę. Długie ciemne włosy miała zebrane w gładki koński ogon. — Słyszałaś, co zrobił?

— Javier przedstawił mi ogólny zarys. Wlaźł do płonącego samochodu niczym seksowny superbohater czy coś w tym stylu?

— Za pomocą tego swojego pięknego ciała odgrodził kierowcę od płomieni i rozciął mu w międzyczasie pas. Zwichnął bark, poparzył ręce, ale nie ruszył się z miejsca. Kazał jakimś przygodnym osobom wyciągnąć faceta przez szyberdach. A potem, kiedy nowicjuszka z jego własnego oddziału wyciągała jego piękny tyłek, zatrzymał się, żeby zabrać z przedniego siedzenia kwiaty, które tamten facet kupił dla żony na urodziny.

— Zaraz zemdleję — westchnęła pierwsza pielęgniarka.

— Mdlej, mdlej. Teraz ma podwichnięcie barku i poparzenie trzeciego stopnia dłoni, która podobno jest w stanie doprowadzić do wielokrotnego orgazmu w niesłychanie krótkim czasie.

— Czy ten facet to może wysoki, przystojny blondyn? Typ flirciarza? — zapytała Mack.

Pierwsza pielęgniarka podniosła głowę, wciągając na nogi wysłużone spodni gimnastyczne.

— Tak. Lincoln Reed. Komendant straży pożarnej w Benevolence. Był pierwszy na miejscu wypadku. Poznałeś go? — zapytała, zerkając na kombinezon lotniczy, który Mack wkładała do torby.

— Przelotnie.

— Jest na dole na SOR-ze. No wiesz, gdybyś miała ochotę go zbadać dwiema sprawnymi rękami — powiedziała druga pielęgniarka z błyskiem w oku.

Mack zastanowiła się chwilę.

— Może faktycznie tak zrobię.

— Tak w ogóle, jestem Nellie.

— Mack. Doktor O'Neil — przedstawiła się.

— Nowa lekarka pogotowia lotniczego. Miło cię poznać. Wykonałeś dziś dobrą robotę. Twoja dziewczyna jest na bloku operacyjnym. Nie ma uszkodzenia kręgosłupa. Jestem Sharon.

— Och... Dzięki za informację. — Pożegnała się i wyszła na korytarz.

Nie była przyzwyczajona do tego rodzaju informacji. Informacji o tym, co było później. Czy ktoś przeżył, czy nie. Jej zadaniem jako lekarki z pogotowia było zapewnienie pacjentowi najlepszej pomocy. Koniec pieśni. Przywykła do tego, że nie wiedziała. Było jej z tym dobrze.

Czasem lepiej było nie wiedzieć.

Przed oczami mignęły jej twarze. Twarze tych, których straciła.

Minęły ją dwie salowe, żartujące między sobą. Mack otrząsnęła się z własnych rozmyślań. Ze spoglądania wstecz nie wynikało nic dobrego.

Kierując się odruchem, zamiast skrócić na parking, poszła na SOR. Było tam stosunkowo spokojnie. Większość ofiar karambolu została przewieziona do szpitala powiatowego. Był mniejszy, ale znajdował się bliżej. Fakt, że Linc trafił tutaj, oznaczał, że nie chciał dokładać pracy tamtejszemu, już nadmierne obciążonemu, oddziałowi ratunkowemu. Punkt dla niego.

Nie musiała specjalnie się rozglądać za swoim rozflirtowanym strażakiem. Wokół wydzielonego boksu zebrała się grupka zauroczonego personelu medycznego płci żeńskiej.

Komendant Ciacho ze swoimi szerokimi barami i swobodnym uśmiechem zajmował większość miejsca pomiędzy winylowymi zasłonkami. Tył jego lewej dłoni był zabandażowany, a prawa ręka znajdowała się na temblaku. Od razu wiedziała, że aż go świerzbi, żeby się tego pozbyć. Był podłączony do kroplówki, najprawdopodobniej z powodu odwodnienia wynikłego z walki z ogniem.

Mack przypomniała sobie o kwiatkach i zaczęła się zastanawiać, czy to prawda. Jeśli tak, to było to z jego strony cholernie romantyczne i nieodpowiedzialne.

Doktor Ling, jak wskazywał identyfikator marszczącej groźnie czoło kobiety, zerknęła znad laptopa.

— Jeśli nie jest pani członkiem rodziny, to musi pani zostać w poczekalni — powiedziała bez podnoszenia głowy.

— Doktor Marzenie należy do rodziny. To moja przyszła żona — powiedział Linc.

Mack roześmiała się i udała, że nie zauważa morderczych spojrzeń, które pielęgniarki rzuciły w jej kierunku. Uniosła swój identyfikator i zauważyła rozczarowanie na twarzy doktor Ling. Mack знаła lekarzy jej pokroju. Broniących swojego terytorium, odrobinę agresywnych. Ale zwykle bardzo, bardzo dobrych specjalistów.

— Jesteśmy starymi znajomymi — wyjaśniła Mack. — Miło znów cię zobaczyć, Lewusie. Jak skrzydło?

— Jak nowe, dzięki obecnej tu pani doktor.

— To w najmniejszym nawet stopniu nie jest prawda — oznajmiła sucho doktor Ling, a potem niechętnie dodała dla informacji Mack: — Częściowe zwichnięcie. Bark nastawiony, musi pozostać unieruchomiony. Komendant dostał stanowczy zakaz przeciążania zwichniętego barku.

— Jak tam nasza pacjentka? — zapytał Linc, przerzucając nogi na bok łóżka i wskazując na wenflon w ręce. Doktor Ling skinęła głową, a jedna z pielęgniarek przyskoczyła, żeby go usunąć. Mack była trochę rozczarowana, kiedy kobieta nie pocałowała plastra, który wyglądała delikatnie na małej dziurce po igle.

W OBRONIE TEGO, CO MOJE

— Nie jestem pewna — powiedziała Mack, wsuwając dłoń do kieszeni szortów. — Doleciała w jednym kawałku. Jest operowana. Nie ma urazu kręgosłupa. Więcej nie wiem.

— Mogę się dla pana dowiedzieć, komendancie — powiedziała jedna z najmłodszych pielęgniarek. Stuprocentowa Amerykanka, z jasnymi lokami i ładnymi niebieskimi oczami obwiedzionymi rzęsami, które mrugały z prędkością stu na godzinę.

— Będę wdzięczny, Lurlene.

Och, wszędzie bym rozpoznała tego szpanującego czarusia, pomyślała Mack, gdy Lurlene pobiegła do komputera. I jeszcze nie tak dawno nie miałyby problemu, żeby odbyć kilka przyjemnych rundek w łóżku z rzeczonym czarusiem. Ale rozpoczynała nowy rozdział w życiu.

Nowy, nudny rozdział w celibacie.

Wielka szkoda, że w tych oczach było coś, co jej się podobało, co rozpoznawała. Zgrabny, nieszkodliwy urok. Wyczerpanie, które starannie ukrywał.

Mężczyzna wstał i nawet nieustraszona doktor Ling postąpiła krok w tył, żeby zrobić mu miejsce.

Był wyższy, niż myślała. I trochę szerszy w barach. Ale nie miękkie. Poza miejscem wokół oczu.

Budową ciała przypomniawszy jej sąsiada, którego przypadkowo podejrzawszy przez płot bladym świtem, gdy wykonywał katorżniczą serię ćwiczeń. Biszkoptowy labrador z uciechą naśladował jego ruchy.

Całkiem niezła pobudka.

— Ma pani ochotę podwieźć rannego człowieka do domu, doktorko? — zapytał Linc.

Mack usłyszała, jak pół tuzina kobiet omdlewa w środku.

— Przykro mi, Lewusie. Mam plany.

Jak na zawołanie zza zasłonki wyłoniła się głowa ST. Dziewczyna uniosła pager.

— Hejka, doktorko. Trafił mi się kolejny kurs. Pilot z następnej zmiany się spóźnia. Przełożymy to?

Mack pomachała do niej.

— Spokojnego lotu, ST. Po następnej zmianie.

Linc uśmiechnął się szerzej.

— Wygląda na to, że jednak ma pani czas, żeby mnie odwiedzić.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Jak kochać i nie spłonąć?

W Benevolence nie było wielu mężczyzn, którzy mogliby mu dorównać. Lincoln Reed, komendant straży pożarnej, był nieludzko odważny. Potrafił zachować zimną krew w każdej, nawet najdramatyczniejszej sytuacji. Był bohaterem: kiedyś postanowił, że nim będzie, i został do tej roli świetnie wyszkolony. Wiele osób zawdzięczało mu życie. Jakby tego było mało, Lincoln był umięśnionym przystojniakiem i nigdy nie miał najmniejszych problemów z zaciągnięciem wybranej kobiety do łóżka. Chyba że była to Mackenzie O'Neil, atrakcyjna pani doktor z blizną na twarzy...

Mackenzie O'Neil rozpoczęła karierę medyczną od latania na pole bitwy i wyciągania stamtąd rannych żołnierzy. Była chirurgiem traumatologiem, przyzwyczaiła się do codziennego balansowania na cienkiej linii oddzielającej życie od śmierci. W Benevolence zatrudniła się w pogotowiu lotniczym, pracowała jako lekarka i równocześnie starała się dojść do równowagi. Potrzebna jej była kuracja. Normalne życie. Więcej snu. Trochę jogi i zajęć w ogródku. Na pewno nie potrzebowała kolejnych emocjonalnych pożarów. Ani miłosnych rozterek z powodu przystojnego strażaka, którego poznała podczas akcji ratowniczej.

W niewielkim Benevolence tliły się małe i większe namiętności. Nawet między sąsiadami. A przedziwnym zbiegiem okoliczności Mack i Linc mieszkali obok siebie. On od początku wiedział, że są dla siebie stworzeni, że między nimi może zapłonąć uczucie. Ona nie miała o tym pojęcia. Po wszystkim, co przeszła, nie była gotowa na poważniejszy związek. Odrobina niezobowiązującego seksu, owszem — ale nie więcej. Cienie przeszłości w każdej chwili mogły odnaleźć drogę do jej duszy i... powrócić.

I zniszczyć wszystko.